

Joanna Bartoń

Drzazgi



Gauka

Drzazgi



Joanna Bartoń – rocznik 1984. Dzieciństwo spędziła w Lubinie, a niemal całe dorosłe życie we Wrocławiu; tu studiowała filologię romańską (rzuciła) oraz psychologię (ukończyła). Zdążyła przetestować kilka ról zawodowych, ale od zawsze chciała pisać. Swoje marzenie spełniła, debiutując w 2015 roku powieścią *Do niewidzenia, do niejutra* (wydawnictwo JanKa).

Joanna Bartoń

DRZAZGI

Gauka
2018

Copyright © Joanna Bartoń, 2018
Copyright © wydawnictwo JanKa, 2018

Wydanie I
[cyfrowe; fragment]
Pruszków 2018

ISBN 978-83-62247-61-5

Masz dzieci, zapytałam, a ona odpowiedziała,
mam dzieci, ale one nie mają matki.

Zeruya Shalev, „Życie miłosne”

Dziękuję Rodzicom,
bez których nic by się nie udało.

(...)

Świadomość, że niedługo zostanie matką, sprawiła, że już w pociągu zaczęła rozmyślać o swojej.

To, że mama część swojego życia spędzała w piwnicy, szybko stało się dla niej smutną oczywistością. Nawet tata nie miał już czasami siły, by z nią walczyć i na jej pytanie „mama znów?”, zadawanego w asyście kciuka skierowanego w dół, rozkładał bezradnie ręce, kiwając ze smutkiem głową. Zawsze wyobrażała sobie wtedy, że mama wyjeżdża w bardzo ważne delegacje, od których zależy los jeśli nie całej ludzkości, to przynajmniej połowy. Znalazłszy takie usprawiedliwienie dla jej nieobecności w swoim życiu, mogła witać ją w nim za każdym razem z tą samą euforią. Była kłębkim popiskującego szczęścia, kiedy tylko słyszała z dołu odgłosy składania leżanki, co oznaczało, że mama znów zamieszka na jakiś czas z nimi. Tata był bardziej powściągliwy i nie witał żony z tak szczenięcą wylewnością. Zadawał jej tylko podszyte sarkazmem pytanie: „Jestem ciekawy, na ile tym razem?”, a czasami w celu wzbudzenia w niej poczucia winy dodawał coś w rodzaju: „Twoja córka nauczyła się jeździć na rowerze, szkoda, że tego nie widziałaś”.

Mama wychodziła z piwnicy tylko w pochmurne dni, ponieważ twierdziła, że razi ją słońce. Już jako małe dziecko wdrukowała sobie w schedzie po mamie zupełnie nieprzystający do rzeczywistości obraz pogody. Dobra to ta z chmurką oraz

deszczem, a zła to słońce, które „wypala mamie oczy” oraz wiatr, który „urywa mamie głowę”. Mama tłumaczyła jej czasami, ile cierpień cielesnych i psychicznych powoduje niewłaściwa pogoda i robiła to tak sugestywnie, że i ona dość szybko zaczęła nosić okulary słoneczne nawet w deszczowe dni na wypadek, gdyby zza chmur wychynęło znieczarna mordercze słońce.

Szybko okazało się, że odziedziczyła po niej światłowstręt. W wieku dwunastu lat poprosiła kategorycznie o zamontowanie czarnych rolet do okien w swoim pokoju. Prośba została ze smutkiem spełniona, albowiem tata z trwogą rejestrował każde podobieństwo ukochanej córki do żony, która okazała się nieprzystosowana do życia nie tylko w społeczeństwie, ale także w podstawowej jego komórce, rodzinie.

Czasami, gdy jej pobyt w piwnicy wydłużał się do tygodnia, siłą ją z niej wyciągał. Pamiętała, jak raz tata wyniósł mamę do ogrodu i powiedział: „Patrz, to twoja córka, wiesz chociaż, do której klasy chodzi?” Odpowiedziała mu jak zwykle histerią w asyście spazmów i gróźb karalnych, bo mama, mimo delikatnej aparycji, potrafiła dźgać słowami jak mało kto. Zatykała wtedy uszy, ale to na nic. Już by chyba wołała, żeby tata dał mamie spokój, niech sobie lepiej ratuje świat w tej swojej piwnicy, ona nie musiałaby przynajmniej tego wszystkiego wysłuchiwać. A tak to wszyscy byli niezadowoleni: tata, bo zbesztany przez mamę, mama, bo wyciągnięta z piwnicy, ona, bo mama nawet na nią nie spojrzała, tylko zwinęła się w kłębek i cicho szlochała.

Mama miała tak naprawdę dwa wcielenia: piwniczne i leśne. To drugie oznaczało przesiadywanie – oczywiście w odpowiednią pogodę – na pieńku wyciętej sosny i wpatrywanie się w mech.

Takie wcielenie mamy lubiła dużo bardziej, ponieważ mogła w nim uczestniczyć. Mama siadała na pieńku, brała ją na kolana i chuchała najpierw zimnym, a potem coraz bardziej rozgrzanym powietrzem w jej kark. Mogły siedzieć tak bez końca.

Raz mama postanowiła urządzić w lesie szkołę przetrwania, z nią w roli jedyne go ucznia. Powiedziała, że musi być naprawdę dzielna, bo próba nie będzie łatwa, ale od tego, jak sobie poradzi, może zależeć kiedyś jej życie. Mama stanęła na sklepieniu jednej z lisich nor i zaczęła po niej skakać. Potem podpaliła kawałek gazety i wrzuciła do nory w celu wypłoszenia ewentualnego lokatora.

Następnie kazała jej wejść do tejże nory, zachowywać się jak najciszej potrafi i nie wychodzić, choćby nie wiadomo co się działo. Powiedziała, że ma być „liskiem, którego nie wypłoszy ani hałas, ani ogień”. Hałas jej nie przestraszył, a gdy nadeszła próba ognia, zobaczyła tatę rzucającego się na mamę trzymającą w ręce podpaloną gazetę. Tata krzyczał coś o szpitalu psychiatrycznym i odebraniu praw, a mama, że jeśli tak się stanie, zabije się.

Rodzice chwilę walczyli, turlając się po mchu, a ona obserwowała to ze swojej lisiej nory i zapragnęła nigdy z niej nie wychodzić. Gdy skończyli bijatykę, oboje zziązani usiedli i na chwilę jakby o niej zapomnieli, a jej było z tym dobrze, bo wcale nie chciała wracać do domu.

Od tego czasu mama musiała prosić tatę o pozwolenie, gdy chciała ją wziąć na spacer: „Czy mogę wziąć twoją córkę na spacer?” – pytała.

Tata najczęściej odpowiadał: „Tak, możesz wziąć twoją córkę na spacer”.

Często zastanawiała się, co to „twoja” bardziej oznacza: czy to, że należy do obojga, czy raczej to, że jest niczyja.

Kiedy wiele lat później zagadnęła tatę o maminy schron w lisiej norze, wydawał się wstrząśnięty:

– Miałś może ze cztery lata, byłem pewien, że tego nie pamiętasz! – wykrzyknął zdumiony.

– Pamiętam i się zastanawiam, skąd się to u mamy wzięło. Jakieś przeżycia wojenne...

– A skąd! – przerwał jej z werwą ojciec. – Mama urodziła się prawdopodobnie kilka lat po wojnie. Dziadkowie adoptowali ją, jak miała około dwóch lat. Obejrzała kiedyś dokument o Wołyniu i tak bardzo zapragnęła być skądś, że przeżycia jednej z bohaterek filmu wzięła za własne. Stąd ta lisia nora i zabawa w schron.

Po tej rozmowie z tatą długo zastanawiała się, jak bardzo trzeba czuć się znikąd, żeby woleć tragiczną historię z Wołynia od własnej, czyli żadnej.

Tata przynajmniej znał swój rodowód – był inspektorem weterynarii, synem weterynarza, tego, który jako pierwszy w chłopskiej rodzinie zdobył wyższe wykształcenie i inteligencki sznyt. Mama natomiast, adoptowana przez prostych rolników, zawsze czuła, że pochodzenie chłopskie to nie jest jej historia. Interesowała się literaturą i malarstwem, na przemian próbując swoich sił to w jednej dziedzinie, to w drugiej.

Pomalowane przez nią okiennice domu świadczą niezbicie, że miała do sztuk plastycznych dryg; niestety, nie wiadomo jak było z jej pisanie – z prowadzonego przez nią pamiętnika został tylko popiół, ponieważ wrzuciła go do pieca tuż przed śmiercią.

Stało się to niespodziewanie i ku rozpaczy córki, która chciała odnaleźć w nim to, czego tak bardzo potrzebowała: dowody miłości do własnego dziecka.

To nieprawda, że mama nie potrafiła się nią zajmować. Po prostu niemal bez przerwy była zajęta sama sobą, ale kiedy przychodziła chwila próby, jak na przykład jej choroba, mama była mamą. Najczęściej chorowała na zapalenie oskrzeli i anginę. Pamięta wyprawy do lekarza w Legnicy. A najbardziej to, jak troskliwie mama się nią zajmowała. Z wypożyczalni wideo, która mieściła się tuż obok przychodni, wypożyczała jej w zależności od wieku bajki lub filmy przygodowe i razem oglądały je w łóżku. Kupowała mnóstwo owoców i w miarę możliwości dogadzała jej kulinarnie.

Bycie chorą oznaczało dla niej raj bycia z mamą. I tylko raz czar prysł, gdy mama do taty, który przyszedł z pracy, powiedziała: „Dobrze, że już jesteś”. A potem, wpatrzona w daleki punkt, ledwo powłócząc nogami, poszła do siebie. Pomyślała wtedy, że zamęczyła mamę na śmierć, ale to nieprawda, że mama nie potrafiła się nią zajmować – po prostu męczyła się trochę szybciej niż inne mamy.

– To nieprawda, że mama nie potrafiła się mną zajmować – prowokowała tatę.

– To prawda, bywała troskliwa. Chwilami nawet zbyt. Pamiętasz swoje łyżwy?

– Jasne, te, co dostałam na Gwiazdkę od Aniołka i co mi je zaraz potem ukradli?

– Nie ukradli ich. Tylko dziecko mogło uwierzyć w taką wersję wypadków. W kredensie trzymałem majątek za skup trzody, a złodzieje mieliby się połakomić na wór cebuli i łyżwy?

To był mamy pomysł. Po obejrzeniu „Dekalogu” Kieślowskiego panicznie się bała, że pęknie lód na naszym jeziorku i się utopisz. Była tak zdeterminowana, żebyś nie jeździła na tych łyżwach, że wybiła okienko w piwnicy i wymyśliła całą tę historię z włamaniem.

– Myślisz, że mama cieszyła się z diagnozy?

– Na pewno nie płakała. Przynajmniej nie przy mnie. Ale odkąd wiedziała o raku jajnika, nie schodziła już do piwnicy. Tak jakby wiedziała, że już niedługo należy się w ciemności do syta.

– Mama zawsze mówiła mi, żebym brała sobie mężczyznę z ciepłymi dłońmi. Sama zwykle miała zimne i podkreślała, jaka to przyjemność ogrzewać je w twoich. Wiesz, co jest ciekawe? Czym bliżej śmierci, tym jej dłonie stawały się cieplejsze. Jak umierała, miała je wręcz gorące.

– A nie pomyślałaś o tym, że to twoje były lodowate?

Okładka:
Adam Walas

Zdjęcie autora:
Cobretti

Redakcja i korekta:
Janina Koźbiel, Jan Koźbiel

Skład i łamanie:
MJK

ISBN 978-83-62247-61-5

Druk i oprawa:
Wrocławska Drukarnia Naukowa PAN

Wydawnictwo JanKa
ul. Majowa 11/17
05-800 Pruszków
694 536 051
wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl
www.jankawydawnictwo.pl

Zdaję sobie sprawę, że piszę o jakimś wyjątku i marginesie, ale nie chciałam konstruować kolejnej elegii o matce-Polce, bo wydało mi się to zbyt łatwe i nic nie wnoszące. Weszłam kiedyś na forum internetowe dla matek dzieci w wieku szkolnym i tam natrafiłam na wpis kobiety, która z bólem, ale może jednocześnie i ulgą, że zrzuca z siebie taki ciężar, przyznawała, że nie kocha własnych dzieci. Owszem, robi wokół nich wszystko, co niezbędne, dba o nie, ale jej serce pozostaje niewzruszone. Ten wpis mocno wrył mi się w pamięć, tak jak zresztą reakcje innych uczestniczek forum, utrzymane głównie w tonie dydaktycznym lub niedowierzającym, *no bo jak to tak – nie kochać?* Ale czy matka ma obowiązek kochać własne dziecko? W każdej sytuacji?



Intryga jest kryminalna: syn – poczęty z wielkiej miłości przez rodziców niedojrzałych, wychowywany przez matkę, okaleczoną emocjonalnie – wyrasta na artystę, który zdolny jest do zabójstwa. Matka musi się zmierzyć z wyrzutami sumienia, co oznacza konieczność przeanalizowania własnego życia (w tym związków z najbliższymi, przede wszystkim z matką), ale musi też stawić czoło opinii publicznej, nieskłonnej do rozumienia, lecz do potępienia. Autorka jednak nie prowadzi narracji jak w kryminale, lecz jak w powieści psychologicznej, a przy tym korzysta z języka powściągliwego i wyrazistego zarazem. Przedstawia równie przekonująco odpryski życia wielkomiejskiej Łodzi, nocnego Krakowa, wakacyjnego Wybrzeża, wsi pod Legnicą oraz emigracji na Wyspach Brytyjskich.

To dziwna powieść. Myli tropy, meandruje, skręca w nieprzewidywalnych kierunkach, a przede wszystkim drażni czytelnicze oczekiwania. Ale Drzazgami warto się podenerwować, bo w literaturze nie wszystkie ścieżki muszą być proste.

Piotr Kofta



Cena: 28,00 zł

